



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIEC.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austryackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

3 górskich fragmentów.

Ty mnie nie pytaj, co ja dzisiaj czuję,
Dziś, inne światy w mej duszy się mieszczą,
I dawne drzewa już mi nie szeleszczą,
Dawne widoki duszy mej nie pieszczą,
I już mnie dzisiaj świat tak nie czaruje.

Znam już otchłanie głębsze niż w przyrodzie,
Znam szybsze uczuć rozpędzonych zdroje,
Znam myśli ciężkich burzliwe rozstroje,
Mam i przepaście i pioruny moje,
Znam w słońcu plamy i piorun w pogodzie.

Więc mnie nie prowadź na alpejskie szczyty,
Ja dziś już nie mam dawnego oddechu,
Który na turnie prowadzi w pośpiechu
Wśród zachwycenia radosnego śmiechu,
Ja dziś zdaleka spoglądam w błękity.

I tylko mogę tak, iść krok za krokiem,
Mierząc się cicho z przestrzeni bezmiarem,
Licząc się ciągle z trudności ciężarem,
I w tem powietrzu mglistem wciąż i szarem
Mej skalnej ścieżki dopatrywać wzrokiem.

Ja wiem, że piękno na wieki istnieje,
Że się w przyrodzie bez końca powtarza,
Że się w natchnieniach ludzkich przeobraża,
Podnosi serce i myśli rozmarza,
Lecz do mnie, już się ono tak nie śmieje.

Są między duszą a przyrodą cienie
Przez które widać wprawdzie jej zjawiska,
Ale już chwycić je i pieścić z bliska
Duch nie ma kiedy, tak się w nim wciąż błyska
Ten grom wewnętrzny a ciągle—cierpienie.

Mam w duszy takie półcienie i głusze,
Że ich przyroda niezem nie rozpędzi,
Znam już żałosny taki śpiew łabędzi,
I taką bezdeń życiowych krawędzi—
Że mi się nie dziw... Czyż znasz moją duszę?
Szczesna.

Reichenhall.

KOBIETA ANGIELSKA.

JEJ CELE I DAŻENIA.

II.

Działalność społeczna, moralna i umysłowa, to właściwa dopiero dziedzina, ku której dążą córy Wielkiej Brytanii. Zgodna z powołaniem kobiety, wszechpotężna a dobroczynna, musi ona i powinna stać się jedną z dźwigni cywilizacyjnych. Aby jednak wyżyn tych osiągnąć, aby pozyskać wpływ wszechstronny i dodatni, należało w pierw zdobyć stanowisko, dające prawo głosu w sprawach ogólnych.

Wiodły ku temu dwie drogi: siła, pozyskiwana przez umiejętnie zakładane stowarzyszenia i potęga druku.

Pomijając na razie wybitne, a tak często źle oceniane stanowisko, jakie Angielki zajęły w prasie i literaturze ojczystej, rzucmy jeszcze okiem na najgłośniejsze ze związków, opasujących gęstą siecią kraj cały.

Oprócz wzmiankowanej już „Ligi pierwiosków,” wśród członków której mężczyźni znaczny tworzą zastęp, oprócz *Women's liberal Association*, stowarzyszenia, mającego filie swe i związki pomocnicze we wszystkich znaczniejszych miastach i miasteczkach Wielkiej Brytanii, do najbardziej wpływowych należą: *Women's Franchise League of Great Britain and Ireland* (Liga oswobodzenia kobiet Wielkiej Brytanii i Irlandyi), *Women's International Association* (Międzynarodowy związek kobiet) i tak zwane „Stowarzyszenie białej wstążeczki,” albo *Christian Women's Temperance Association*, wielki związek niewieści, założony w celu szerzenia wstrzemięźliwości. Najpotężniejsze to z ciał zbiorowych, zostające pod przewodnictwem lady Henrykowej Somerset i panny Franciszki Willard, ogarnęło dziś działalnością swą pięć części świata, liczy miliony członków obojej płci, a rozporządząc olbrzymimi funduszami, mieści biura i zarządy swe, we własnych pałacach.

Jeżeli wymieniliśmy tylko trzy główne stowarzyszenia, to dlatego jedynie, aby niewyliczać kilkudziesięciu pomniejszych, służących do strzeżenia interesów niewieścich, we wszelkich sferach, od chaty wieśniaczej aż do książęcych pałaców.

Zadanie to spełnia również wzmiankowana powyżej „Liga oswobodzenia kobiet Wielkiej Brytanii i Irlandyi.”

W programie jej leży:

1) Zdobyć dla kobiet pełnych praw obywatelskich i politycznych, jakich używają mężczyźni.

2) Otrzymanie dla nich ulg w wykształceniu i przywilejów naukowych, które, podnosząc po-

ziom umysłowy, ułatwiałyby zarazem zdobycie stanowiska i chleba.

3) Zapewnienie kobiecie, za pracę wytrwałą a dobrą takiego samego wynagrodzenia, jakie pobiera za nią mężczyzna, a więc ochronienia jej od wyzysku chlebobawców.

4) Zabezpieczenie jej równych praw w małżeństwie, tak co do rozwodu i opieki nad dziećmi, jak co do rozporządzania własnymi funduszami.

Ponieważ we wszystkich tych kwestjach, prawnej i społecznej natury, położenie ekonomiczne Anglika jest o wiele lepsze od stanowiska jego żony, siostry lub matki, aby więc krzywdząca ta nieprawidłowość raz ustała, „Liga“ widząc, że mężczyźni, jako prawodawcy, nie położą jej nigdy kresu, żąda:

5) Prawa głosu dla kobiet przy wyborach do parlamentu, oraz zasiadania ich w tem najwyższym ciele ustawodawczym, a to celem ukrócenia krzywdy, doznawanej dzisiaj i od wieków przez całą połowę narodu.

Wybieralność posła, jako przedstawiciela sfer rządzonych i rządzących zarazem, może być uwarunkowana wyłącznie: zaufaniem ogółu, wiarą współobywateli i stopniem umysłowego rozwoju. Census naukowy winien dawać jedynie prawo wybieralności. Potworna to bowiem anomalia, by w społeczeństwie cywilizowanym kobieta, która ukończyła z zaszczytnymi tytułami studia uniwersyteckie, której wiedza, prawość i wyższy umysł ogólny podziw budzą, nie miała jawnego wpływu na bieg spraw społecznych, nie miała głosu tam, gdzie go używa w pełni stanęła jej, opilec często, lub ciemny, łatwo przepukny prostak.

Takim jest główne credo „Ligi“. A dalej, tłumaczy się ona w odezwach swego zarządu, iż żądając, aby stopień naukowy lub umiejętność w pracy, bez względu na płeć, były jedynym warunkiem, zapewnijającym stanowiska w społeczeństwie, nie myśli jednak wprowadzać kobiet w zakres niewłaściwej dla nich działalności. Związkowi bowiem nie chodzi o wypieranie mężczyzn z chlebobajnych posad lub zajęć, lecz o uwolnienie pracy kobiet z pod przewagi, uprzedzeń i ostracyzmu. Obie połowy ludzkości mają prawo do życia; obu wolno pracować bądź dla siebie, bądź dla podniesienia dobrobytu rodziny, dla podtrzymania ogniska domowego. Przywilej to święty, nikt więc zabronić go nie może, niechże przeto kobieta w spełnianiu go nie spotyka trudności, które siły jej, węższe od męskich często druzgocą i unicestwiają. Niech jej wolno będzie wybierać takie zajęcia, jakie z największą korzyścią dla siebie i społeczeństwa spełniać potrafi; do sądu zaś o pracy jej niech będą dopuszczeni, nie tylko zawistni lub lekceważący ją współzawodnicy, lecz i zainteresowane w niej a fachowo uzdolnione towarzyszk. „Każe prawo — brzmi dalej piękna ta odezwa — nakłada zarazem obowiązki. Otóż, podejmując je z radością, żądamy tylko, aby nam pozwolono wypełniać je uczciwie, wypełniać jawnie i z podniesionem czołem, dla dobra rodziny i kraju.“ Przypominamy jednak, że rząd angielski, oddając kobietom najwyższe pochwały za umiejętność ich i pracę sumienną w radach szkolnych i opiekuńczych, w urzędach: kolejowych, pocztowych i telegraficznych, wprowadził je na stanowiska te dla tego, że są one bezinteresownie spełniane lub bardzo mało płatne. Ten wyzysk przynosi ujmę sferom rządzącym, a krzywdę pracownikom. Skoro więc okazały się one tak bardzo użytecznymi, żądamy, aby zostały dopuszczone do tych urzędów i instytucyj, w których, za równą męskiej pracę, będą pobierały równą jej także płacę.

Logiki nikt wywodom tym nie odmówi. Przyczyniamy je zaś tem chętniej, że, niestety, nie do jednej Anglii tylko, lecz do Europy całej dadzą się stosować.

„Liga“, jakkolwiek zorganizowana według obecnego programu w 1880 r. dopiero, istnieje jednak właściwie od lat 30. Cały rozwój kwestyi niewieściej, wszystkie reformy zaprowadzone w ostatnim ćwierćwieczu, jej tylko kobiety angielskie zawdzięczają. Niemniejsze długi

wdzięczności zaciągnął względem „Ligi“ lud wielkiej Brytanii. W programie jej bowiem leży jeszcze: podniesienie dobrobytu i oświaty warstw niższych, zakładanie: szkółek, schronisk, przytułków, domów pracy i poprawy, biur rekomendacyjnych, uczelni zawodowych, ochron, etc. Członkowie „Ligi“ działają na umoralnienie kobiet z proletaryatu, opiekują się losem robotnic fabrycznych. Chcąc osiągnąć różnorodne te cele „Liga“ przyczyniła się do założenia wielu napozór nie związanych z nią stowarzyszeń. Równocześnie zaś gorącą propagandą, rozrzucaniem pamfletów, odezwo i satyr politycznych w milionach egzemplarzy, przyczyniła się do wprowadzenia na ławy deputowanych całego zastępu posłów, oddanych gorąco reformom w sprawie niewieściej. Wobec tego nastąpiło najpierw przeprowadzenie w parlamencie bilu, nadającego kobietom pełne równouprawnienie naukowe, a nastąpi prawdopodobnie także w zakresie przywilejów politycznych i obywatelskich.

Zaznaczywszy potężną a wpływową działalność „Ligi“ pierwiastków, „Liberalnego stowarzyszenia kobiet“, oraz „Ligi oswożenia“, wykazawszy prawa przez nie zdobyte, zobaczymy jeszcze, jak spełniły obowiązki swe względem wydziedziczonych i nieszczęśliwych. Wpływ to tem ciekawszy, iż podnosząc wysoko sztańdar godności ludzkiej, przodowniczką ruchu angielskiego pozostawiły jałmużnę i dobroczynność dla starców lub niemowląt jedynie. Człowiek dorosły może się podźwignąć na zasadzie samopocy tylko. Podstawą jej stał się cały szereg nowych stowarzyszeń, poświęconych klasom pracującym wyłącznie.

W pobieżnym chociażby naszkicowaniu ich, przychodzi nam się oprzeć na wyczerpującym sprawozdaniu miss Florencji Noutledge, znanej działaczki w „Związku angielskich stowarzyszeń robotniczych“ (*Women's Trades Union League*.)

Inicytywę związków robotniczych zawdzięcza Anglii pani Emmie Paterson, kobiecie wielkiego serca i podniosłych idei. Żona drukarza, który w początkach zawodu swego własnoręcznie przy kaszcie zecerskiej pracował, nie należała sama nigdy do właściwej klasy robotniczej. Wyższa nad nią inteligencją, pani Paterson potrafiła przy codziennem obcowaniu odczuć całą materyalną, a często i moralną nędzę nieszczęśliwych tych kobiet. Aby je więc podźwignąć, aby im życie ułatwić, postanowiła w 1874 roku dokonać wielkiego dzieła zjednoczenia wszystkich pracownic w związkach, dla każdej gałęzi przemysłu oddzielnych, a w jedno silne stowarzyszenie połączonych.

Tak powstała potężna, wielostronna organizacja, zwana początkowo „Ochroną pracy niewieściej“.

Jakimi wysiłkami zdołała jedna kobieta zgromadzić potrzebne fundusze, utworzyć cały szereg komitetów, zjednać dla sprawy swej wpływowych opiekunów i mecenasów, to już nazawsze tajemnicą jej zostanie. Dość, że w 1890 r. doszedłszy w propagandzie swej do zamierzonego celu, zwołuje zjazd delegatek ze wszelkich kategorii przemysłu i zakłada: „Centralny związek robotnic angielskich“, jednoczący już kilkadziesiąt silnie zorganizowanych stowarzyszeń.

Kto zna jednak chwiejność klas pracujących, ich nieufność i brak solidarności, ten zrozumie, łatwo, jakiej żelaznej potrzeba było woli, aby, pokonawszy trudności, skłonić te rzesze liczne do idei samopomocy i jedności. Przyszło to tem trudniej, iż przeciążone pracą, a bardzo źle wynagradzane, robotnice nie mogły ani znaleźć czasu na zebrania, ani odłożyć jednego szylinga od ceny twardego, czarnego chleba, na który im z trudnością wystarczało. Trzeba też było życia pracy i zaparcia się siebie, by, z jednej strony, podnieść ich poziom moralny i umysłowy, z drugiej, wywalczyć dla tych zastępów warunki znześniejszego bytu.

W apostołskiej tej misji pomagały dzielnie pani Paterson: miss Marion Tuckwell, założycielka związku zecerok, który w doli ich istny przewrót sprowadził, oraz panie: Anna Besant i M. Burrows. Dzięki im, pracownice z fabryk

zapalek połączone zostały w jeden solidarny związek.

Największą jednak zasługę położyła mistress Marland Brodies, doprowadziła bowiem do tego, iż stowarzyszenia robotnicze mężkie otworzyły szranki swe dla kobiet. Wobec powyższego faktu, łączność i jedność wytworzyły już potęgę, zapewniającą robotnicy dach i byt w razie choroby lub braku pracy, oraz pewną przewagę w zatargu z chlebobawcami. Mylnem wszakże byłoby twierdzenie, iż organizacja ta ogarnęła wszystkie dziedziny przemysłu. Przeciwnie, do związków silnie ukonstytuowanych należy zaledwie 100,000 kobiet. Gdy uwzględnimy jednak, że nie tylko one, lecz i rodziny ich mają zabezpieczony lepszy byt, gdy uprzytomnimy sobie zapewnioną opiekę moralną nad młodem, starania około starców i dzieci, to przekonamy się, iż liczba ta wzrasta w trójnasób. Paręset tysięcy dusz, uratowanych od nędzy i ciemnoty, a pogodzonych z prawami Bożemi i z własnym losem, paręset tysięcy dusz, uratowanych od zwątpienia i zamienionych w czynny, dodatni żywioł społeczny, to wynik, godny zaiste działalności kobiet szlachetnych, gorąco ziemię i lud swój miłujących.

Gdybyż altruistyczne i nawskroś humanitarne te poglądy mogły znaleźć kiedy naśladowczy nie wśród bogatych pań naszego kraju.... Gdybyż piękne *désœuvres* zrozumiały, że z okrucichów bogactwa rzucona jałmużna i haft na kanwie nie dają jeszcze prawa do tytułu zacnej obywatelki danej ziemi. Bierna cnota, to — marna cnota. Wszak Pismo Święte nawet uczy, że... nie czynić źle, to mało; to nie tytuł do zasługi lub sławy. Miłość bez uczynków martwą jest. Wierząc zaś wpływ zbawienny na masy ciemne, podnosić umysł ich i ducha, polepszyć dolę ciężką, czyż to nie najszlachetniejszy dowód serca, przejętego miłością dla kraju i maluczkich a nieszczęśliwych?

Anatol Krzyżanowski.

ZAPOMNIANY ŚPIEWAK MIŁOŚCI

przez

Antonia Pileckiego.

(Dokończenie).

Również nie należy uważać za nieprzyzwoity żart z wielkiego poety, gdy autor nasz parafrazuje Mickiewicza w następujący sposób:

„Lecz nie przysięgać! — to moja rada:
„Bo kto przysięgę naruszy,
„Ach! biada jemu za życia, biada,
„I biada jego złej duszy!“

Berwiński żartuje tu z tych, którzy brudną szatę swego życia stroją w piękne kwiecie poezji.

Gniew na poetę i na jego „Don Juana Poznańskiego“ miał jeszcze drugą, kto wie czy nie ważniejszą przyczynę. Naraził się on nie tylko czułym kochankom, ale także, i to bardziej jeszcze, tym, których ideałem w życiu bywa:

„Kręty manowiec — dyszel rzemienny —
„Komin, z którego się kurzy,
„Kuchnia, piwnica, kielich strzemienny...“

Naraził się również literatom poznańskim, a nawet całemu ogółowi, gdy powiedział:

„W Poznańskim jednak — ach! w tem Poznań-
[skiem],
„W tem naszym polsko-germańsko,
„Arysto-demo-kratyczno-pańsko,
„Filozoficznie-kapłańskim,

„Są ludzie — są więc i literaty!
 „Jeśli dowodów chcesz gwałtem,
 „Za sześć talarów prenumeraty
 „Wszystkich zakupisz ryczałtem“ —

Naraził się nawet tej sferze społecznej, z której sam wyszedł, stosując do niej następujące słowa:

„Nieprawdaż, panie ojcze, — tyś świadom,
 „Co może ręka bez głowy.“

W śmiechu satyryka nie odczuto szczerych, namiętnych uderzeń serca poety, nie odczuto, że tu drga ta sama nuta pieśni, która radziła rzucić tę „Dejaniry palącą koszulę.“ Nawet względnie przychylniejszy dla Berwińskiego krytyk, profesor Bączkiewicz, ten, który pierwszy starał się oczyścić życie poety z niesprawiedliwej pogardy, jak najsurowiej potępia „Don Juana Poznańskiego;“ przyznaje mu tylko „oryginalną humorystyczność odmiennej natury.“ Rzeczywiście, humor w tym utworze jest nieporównany, niezwykle szczerzy, oryginalny, ale pod nim drga nuta bólu i goryczy.

Zarzucają Berwińskiemu, że w jego „Don Juanie“ jest wiele obrazków płaskich, lubieżnych. Czyż niema ich nawet w „Don Juanie“ Byrona? A przecież nikt nie powie, ażeby obrazy te, z wyjątkiem kilku, dla zbytcej brawury tylko skreślonych, nie były na miejscu, nie służyły do uwydatnienia zamierzonej myśli. Są one takimi, jakimi one z natury rzeczy być muszą. A trzeba przyznać, że obleka je forma niezwykle artystyczna, która nie dopuszcza do trywialności; że krasi je dowcip i humor szczerzy, że nawet na niektóre drastyczne obrazy poeta narzuca prawdziwie artystyczną zasłonę. Nie razi nawet „Ewa w cieniu swej rajskej jabłoni.“ Nie zachęca ona do naśladownictwa i nie zgorszy nikogo, w tak śmiesznie nieoponętnej występuje sytuacji. Nawet współczucia nie wywoła, choć ją kochanek nielitościwie okłamuje fałszywymi zakłęciami, bo sama wydaje się śmieszna komediantką, gdy powiada:

„Ach, ja mam sztylet!“ To mówiąc z włosów
 „Dobyla sztylet misterny,
 „I przysięgała w obec niebiosów,
 „Że był i będzie jej wierny.

„Jeśli mię zdradzisz, ja tym sztyletem,
 „Przysięgam, skończę to życie!
 „I ja przysięgam święcie, że nie tym —
 „Ach, bo to była... zgadnijcie? —

„Była to, mówiąc po prostu — szpilka!
 „Różnem być mogła na karła —
 „Lecz używana już przez lat kilka
 „Tak się nareszcie przytarła,

„Że łatwiej słońcu byłoby zgasnąć,
 „W ostatniej nawet iskierce,
 „Niżli tej szpilce skórę zadrasnąć,
 „Niż przebić gorset i serce!“

W ogóle śmiało rzec można, że najczystsza moralność wychodzi z całej tej potępionej opowieści bez żadnego szwanku, a przeciwnie, wszystko co złe, niemoralne i obłudne, ochłostał poeta nielitościwie i ośmieszył. Dowiódł tem, że pragnie, aby uczucie miłości było szczerem, prostem i serdecznym, bez fałszywych akcesoryów romantycznych, aby było rzetelnym ukochaniem istoty kobiecej. W utworze tym śmiało rzucił Berwiński rękawicę nawet nieszczerem uniesieniom miłosnym poezji romantycznej, lub sparodyowaniu w życiu jej podnioslejszych uniesień. Nader charakterystycznie przedstawia się nam „Don Juan,“ gdy z romantycznej wycieczki miłosnej, która, mówiąc nawiasem, skończyła się nawet sromotną ucieczką, wrócił do swej bardzo prozaicznej siedziby, gdzie:

„Pokój niewielki
 „Z niskim i brudnym pułapem, —
 „Piec, cztery kąty, w kątach butelki,
 „Na drzwiach pęk kluczy z harapem —

„Tak mieszkał Juan, i żył szczęśliwy,
 „Dopóki nie zasnął miłości,
 „Miał noc spokojną, dzień nietęskliwy,
 „Czasem sąsiadów i gości,

„Najczęściej nudy...“

Gdy miłość zatrzała ten prozaiczny spokój jego życia, wśród bezsennej, pełnej nawału wrażeń nocy, powziął myśl zostania poetą, zaczął tworzyć, napisał kilkakrotnie: „O! ty która:“ —

„I znów za rymem w lot goni —

„Goni, a goniąc, przygryza pióra,
 „A przygryzając, pierś wzdyma,
 „I znów zaczyna tak: „O! ty, która —
 „I znów się nagle zatrzyma —

„A gdy się wstrzymał, duma i myśli;
 „A gdy się dobrze namyślił —
 „Spojrzał — raz jeszcze rozważył ściślej,
 „I co napisał — przekreślił!“

Ileż podobnie płaskich osobistości poczuwa fałszywe natchnienie pod wpływem przygód miłosnych, nawet gdy te przygody nic wspólnego z górnymi lotami ducha nie mają. Zdaje im się, że czują w piersi serce Gustawa lub Werthera, parodują więc te uczucia, które tylko podnioslejszym organizacjom duchowym dostępne być mogą. Niektórym z nich, zdolniejszym, udaje się nawet wkraść do przedśionka poezji i dotknięciem niegodnej ręki skazić jej świętości.

„Don Juan Poznański“ Berwińskiego nie jest arcydziełem, pisany jest nierówno; obok pięknych ustępów, napotyamy w nim rzeczy banalne, zupełnie zbytcej; w ogóle utwór ten grzeszy zbytnią rozwlekłością i gadatliwością. W każdym jednak razie był, szczególnie na czas, w których powstał, utworem prawdziwie oryginalnym, żywą treść w sobie noszącym. Zatrzymałem się też nad nim dłużej, aby sąd swój, odmienny od dotychczasowych, szczegółowiej umotywowywać. Nie ulega wątpliwości, że forma tego utworu zawdzięcza wiele „Beniowskiemu“ Słowackiego; treść jednak daleko od pierwowzoru odbiega i jest wiernem, oryginalnym odbiciem wielu ujemnych właściwości życia, na które z bólem patrzył serce poety.

Gdy duch śpiewaka, zamknąwszy „Księgę światła i złudzeń,“ księgę uniesień miłosnych, bólu i zawodów, otworzył „Księgę życia i śmierci“ i w niej inne, palące goryczą słowa nakreślił, o dziejach miłości mówi już bez zapalu, a z bólem i szyderstwem. Znać, że wychylił do dna czarę zawodów, jak o tem nawet choć trochę niejasno dzieje życia jego świadczą:

„Miłość — tęczową wyobraźni tkanekę —
 „Bańki mydlane — motyla — kochankę
 „Dzieciom zostawmy i tym, co zostali
 „Na całą wieczność dziecinni i mali!
 „Przestałem kochać! —

Jednak ta dziecinna zabawa snąc niegdyś drogą i miłą była poecie, gdyż mówi, że dawniej „kochał, jak może niewielu kocha.“ I wierzyć mu trzeba, czuć bowiem w jego pieśni miłosnej, że nie z wyobraźni, ale z żywej krwi serca się zrodziła. To też nie nosi anemicznego oblicza, ale ma barwne rumieńce zdrowia. A że do żywej krwi serca poety dużo żółci napłynęło, to już nie jego wina, za to chyba potępiać go niewolno. Niewolno potępiać poety, który „pełnem sercem nad światem zawisnął“ za to, że, gdy spojrzawszy z wyżyn ideału, ujrzał błądą, szarą, a często wstrętną rzeczywistość, że wtedy żółć przepełniła krew jego, wsiąkała w uczucie i myśli. W bólach jego miłość drgała, sarkazm łzami goryczy palił; kochał on i cierpiał, więc gdyby nawet w sądach swych i uczuciach zadaleko zaszedł, wiele wybaczyc mu trzeba, więcej niż tym duszom wystygłym, które ani kochać, ani oburzać się nie potrafią.

Charakteryzując w kilku słowach pieśni miłosne Berwińskiego, powiedziec należy, że drga w nich namiętność liryczna, a mają one nadto

polot liryczny; że ta namiętność ich pełna jest siły męskiej, dumy i godności; że są one niezwykle szczerze, barwne, w obrazach plastyczne, pełne bogactwa przenośni poetycznych; że bląkający się w nich tu i owdzie jeszcze duch marzycielstwa romantycznego rozplywa się pod ożywcem technieniem obserwacji realnej, nie zimnej jednak, a rozgrzanej zapalem i uszlachetnionej poczuciem wyższych ideałów; że odzywa się w nich niezwykle oryginalny indywidualizm poety, nadający im wiele odmienne cechy, które nie pozwalają im zatonać w ogólnej powodzi pieśni erotycznej. Bogactwo i misterność formy poetycznej Berwińskiego znalazły bardzo pochlebną i drobiazgową ocenę w studium profesora Bączkiewicza, dlatego też i dla braku miejsca, nad formą tą dłużej się nie zatrzymamy.

Po śmierci rzucono na poetę gromy potępienia. Mogiły jego nie ukwieciły wieniec sławy, a obryzgała ją ślina pogardy i złości. Nie przebaczone mu tego, że hołdował innym ideałom, niż większość jego spółziomków. Dużo by się dało powiedzieć na obronę Berwińskiego. Niezależnie od tego jednak, niesprawiedliwą jest w każdym razie ta stronnicza namiętność, która nie dopuściła do sprawiedliwej oceny rzetelnego talentu poety. Nie przemawiam już w imieniu tej zasady, która nakazuje nam uszanować przekonania człowieka dobrej woli, chociażby sądzić należało, że człowiek ten w drogach swoich pobił. Taki to jednak często bywa los ludzi szczerych, a śmiałych przekonań, którzy nie chcą iść za prądem ogólnym, a widzą inne drogi i drogi te wskazują społecznym. Niebezpieczną też jest rzeczą śmiałym mieczem szyderstwa uderzać w strupieszale formy życia, pełne nieszczeroci i obłudy, zakłócać spokój ludzi, którzy lubią drzemać w wygodnym, ciepłym szlafroku moralności formalnej. To drażni, niepokoi, to robi takie wrażenie, jakby się kto ośmielił zdzierać z przyzwoitego obywatela piękną jego odzież zewnętrzną, aby okazać cery na jego bieliznie.

Gdyby zresztą Berwiński, jako śpiewak szerszych ideałów życia, zasługiwał nawet na bezwzględne potępienie, dla czegoż jego pieśń miłosną, szczerą, ognistą, a tak kunsztowną i piękną, rzucono w pył zapomnienia? Odpowiedź na to pytanie byłaby może zbyt bolesną. Dlatego, nie idąc dalej w badaniach, zaznaczę tylko, że złość i namiętna zawiść nietolerancyi przekonań tak okryła grób poety łachmanami szyderstwa i pogardy, że o grobie tym zapomniano zupełnie. W wielu podręcznikach literatury Berwiński nie istnieje zupełnie. Dlatego też i ogół niewiele o nim wie i pamięta. Dopiero studium profesora Bączkiewicza wyprowadziło na nowo postać poety na widownię literacką. Prędzej czy później jednak, dobra, sprawiedliwa ręka krytyki piśmienniczej nad zapomnianym grobem poety zapali jasne światło słusznej oceny, przypomni go potomności za pracę jego ducha, za krew serca jego, za ból jego twórczości i za cierpienia życia odda mu hojną zapłatę. A wtedy postać twórcza Berwińskiego znajdzie dla siebie zaszczytne miejsce w dziejach poezji naszej.

BEZKRÓLEWIE

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

w 2-eh częściach

przez

Maryę Łopuszańską.

(Dalszy ciąg)

Magdzia po tej rozmowie wyszła znużona i smutna. Ciągłe walki z różnymi trudnościami i jej wreszcie odebrały siły. Pierwszy raz, spojrzawszy na ogromne zadanie, jakie wzięła na

siebie, straciła odwagę, i to, co wpieryw zdawało się łatwym, teraz ją zastraszało; — upadała pod ciężarem.

— Mój Boże, mój Boże, — mówiło do siebie biedne dziecko. — Co ja pocznę tu między nimi? Tu tatuńcio się zaciął, że już nie wiem, z której przystąpić do niego strony, tam Ewcia znów wybrała się ze swoim klasztorem... a Janek to już chyba chce, żebym oszalała, kiedy tak nie o sobie nie daję wiedzieć. Już sama nie wiem, co począc z nimi wszystkimi — głowa mi pęka!

Tak rozmawiając z sobą, weszła do sali, gdzie lampa płonęła, ale nikogo widać nie było. Znużoną i zniechęconą, opuściła ręce i usiadła we framudze okna. Twarz jej miała w tej chwili wyraz dziecka opuszczonego i zdawała się błagać o pomoc i opiekę.

Nagle usłyszała szmer i pan Andrzej, którego obecności nie spostrzegła dotąd, zbliżył się do niej:

— Panno Magdaleno, — rzekł, — a na twarzy jego odbiło się szczere współczucie, — czy nie mógłbym w czemkolwiek być pomocą!

Magdzia w tej chwili doznała niemal wyrzutu, że zapomniała o nim, na którego wiedziała, że zawsze liczyć może; z rozjaśnionem okiem podała mu rękę, mówiąc:

— Dobrze, żeś waćpan przyszedł, bo już sama nie wiedziałam, do kogo udać się po radę w tych ciężkich kłopotach, które na mnie teraz spadły...

— Jakżem rad, żeś waćpanna mnie wybrała za powiernika, — rzekł pan Andrzej z uśmiechem, a zarazem z jakimś rozrzewnieniem w głosie, — mam bowiem nieplonną nadzieję, że zdołam w czemkolwiek pomódz na owe ciężkie kłopoty... Jednemu zawsze trudniej dźwigać...

— O tak, masz waćpan słusność, — odrzekła Magdzia naiwnie, — ot, teraz, nimesz waszmość przyszedł, czułam się tak opuszczona, bezsilna, że aż mi się płakać chciało, ale skoroś przemówił, zaraz pierzchły kędyś owe troski i widzę, że jeszcze niema czego tak bardzo rozpaczać...

— Dlaczegoż waćpanna odrazu nie pomyślała o tem, że masz wiernego sługę i przyjaciela, który gotów w każdej przygodzie przyjść z pomocą? Sądzę, że zasłużył na zaufanie...

— Ja też ufam waćpanu, jako nikomu na świecie, — odrzekła Magdzia ze szczerością. — I dla tego udaję się do waszmości po radę, bo już widzę, że sama nie podołam.

Poczem opowiedziała mu całą swą rozmowę z Ewą.

— Mało mam kłopotów z tatuńciem, trzeba mi było tego jeszcze, — dodała w końcu. — Czy waszmość wiesz, co tatuńcio odpowiedział wczoraj ksiądzu proboszczowi, gdy go się ten zapytał, czy niema jakowychś wieści o Janku: „Miałem kiedyś synowca, ale już go dziś nie mam, a losy ludzi obcych są mi obojętne.“ A Janek znów ani myśli dać wieści o sobie... Naprawdę, to tylko chłopcy są do tego zdolni!... Sama nie wiem, co teraz z Ewią robić, ona się zamęcza tym nieustannym smutkiem i tak dłużej zostać nie może w żaden sposób.

— Jeżeli waćpanna zechcesz usłuchać mej rady, — ozwał się pan Andrzej, — to napiszesz do pani kasztelanowej, by przyjechała i zabrała pannę Ewę do Krakowa, a może zmiana miejsca rozgoni choć w części owe troski.

— O tak, prawdę waćpan mówisz, dobrze to powiadają ludzie, że co dwie głowy, to nie jedna! Patrząc waszmość, a ja siedziałam, myślałam, i nie przyszło mi to do głowy! Jutro zaraz napiszę do cioci, by przyjeżdżała na ratunek, — ona potrafi Ewie przemówić do rozsądku.

Nazajutrz też Magdzia wyprawiła list do kasztelanowej, wzywając ją w te słowa: „Niech ciocia przyjeżdża, bo Ewcia szaleje.“ Wezwanie to nie pozostało bez skutku, kasztelanowa przybyła wkrótce po to, aby zabrać Ewę do Krakowa.

Pan Ignacy także zjawił się w Bobrowicach, ale tylko parę dni mógł zabawić, bo się śpieszył bardzo.

— Zkądże przybywasz i co przywozisz nam ze świata, ty wieczny szalawilo? — zapytał go pan Andrzej u wstępu.

— Bardzo ważne wieści przywożę, — odrzekł pan Ignacy, całując rękę ojca i witając się ze wszystkimi. — Pan hetman natychmiast wyrusza do Lwowa i ja mu towarzyszę wraz z innymi.

— A cóż tam słyhać o Tatarach? — zapytał chorąży.

— Już Tatarów dyabli wzięli, bo ich hufce pana Strusia i panów Potockich odparły, wielką im klęskę zadawszy...

— Gdzież to, jak? — posypały się zewsząd pytania.

— Niechże Bogu będą dzięki! — zawołał proboszcz, wznosząc oczy w niebo.

— Było to tak, — opowiadał pan Ignacy: — dziec z pode Lwowa posunęła się ku Baworowu, gdzie obległa siostrę hetmańską, panią Włodkową. Już zdobyli miasto i do zamku się dobierali psiawiary. Ale pan Jakób Struś, panowie Potoccy i Podlodowski nadbiegli z odsieczą w kilka tysięcy koni i rozpędzili to plugastwo. Jednakże niemałe były straty i z naszej strony: poległ pan Struś, poszli w jasyr panowie Warszawicki i Korzycki i wielu zacnych kawalerów z pośród szlachty dało głowę w onym srogim boju. Powiadają, że Tatarowie w ucieczce snadno mogli być do szczytu zniesieni, gdyby nie klótnia wojowodów kijowskiego i braclawskiego, którzy za nie nie chcieli sił swoich połączyć i tym sposobem wypuścili z rąk wiktoryę...

— Nie dziw, że Bóg zsyła kary na tę Rzeczpospolitą, kiedy w niej wciąż trwają niezgody i swary, — rzekł chorąży z oburzeniem i bólem. — No, ale cóż dalej, opowiadaj! — dodał, obracając się do syna.

— Mówią, że klęskę ową sprowadził na Ruś Bielecki, szlachcic z Lubelskiego, — ciągnął dalej pan Ignacy, — był on w młodości przez tatarstwo do niewoli zabrany, a potem odwieziony do Stambułu, gdzie został poturczencem. Powróciwszy do kraju, służył królowi Stefanowi za tłumacza, do wielu posług był przez niego używany i bardzo hojnie udarowany. Ale po śmierci króla panowie wydarli mu wszystko, co od niego posiadał, za co on, mszcząc się, namówił Tatarów do najazdu.

— A cóż król? — pytał chorąży.

— A nic, siedzi w Rewlu. Sam hetman tylko myśli o obronie kraju i posłał księdza arcybiskupa lwowskiego do Wielkopolski, by skłonić tamtejszą szlachtę do podatków i pomocy zbrojnej, a zaś do Kamieńca wyprawił prochy i działa, straż nad tem miastem zdawszy panu Jazłowieckiemu.... Tatarzy bowiem to fraszka, nam teraz coś gorszego grozi...

— A co takiego? mów! — zawołał chorąży.

— Hyder-pasza, begler-bej sylistryjski, przeprawiwszy się przez Dunaj z ogromnem wojskiem, stanął nad Dniestrem i spalił Sniatyń....

— A słowo stało się ciałem! — zawołał chorąży, zrywając się z miejsca.

— Boże, zmiłuj się nad ludem Twoim! — wyszeptał proboszcz.

— Właśnie hetman wysłał mię z listem do wojewody sandomierskiego, — opowiadał dalej pan Ignacy, — myślę więc sobie: po drodze wstąpię do domu, bo kto wie, kiedy się znów obaczę, pan hetman bowiem wyruszył już do Lwowa i ja za nim niedługo pośpieszę.

Wiadomość o ukazaniu się Turków wielkie uczyniła wrażenie na wszystkich. Chorąży chodził po dziedzińcu zafrasowany, targając węża, pan Andrzej stał zamysłony pod drzewem, proboszcz modlił się po cichu.

— Niechże Bóg ma w opiece tę Rzeczpospolitą, — mówił chorąży mocno poruszony, — bo Turkowie groźny nieprzyjaciel, zwłaszcza teraz, gdy wojska niema czem płacić i granice obnażone...

— Podatków także dotąd jeszcze nie ściągnięto, — rzekł pan Ignacy, — bo prymas się temu sprzeciwił, nie wierząc gdy mówiono, że Tatarzy grożą.

— Teraz się już przekonał chyba, że to prawda, — odparł chorąży, — kiedy tatarstwo spustoszyło kraj podolski...

— Powiadają, że takiego spustoszenia dawno nie widziano w tych stronach, — mówił pan Ignacy.

cy. Turcy to ich podburzyli, postanowiwszy sami ruszyć za nimi. Sułtan podobno wściekły na kozaków, którzy wciąż mu palą miasta nadmorskie; niedawno właśnie Białogród zburzyli.

— Świętej pamięci król Stefan umiał ich trzymać w żelaznym ręku, — rzekł chorąży w zamysleniu, — teraz zaś wszystko się rozprzegło i wewnątrz i zewnątrz, bo niema pana, któryby mu dorównał w mądrości i sile.

— Dobranoc, mości chorąży, — ozwał się proboszcz, żegnając się dokoła ze wszystkimi. Jutro odprawię w kościele nabożeństwo, żeby Bóg raczył odwrócić od nas owe groźne chmury.

— Wszyscy będziemy na niem, — rzekł chorąży, odprowadzając go aż do bramy.

Tylko pan Andrzej nie się nie odzywał przez cały czas, pogrążony w jakichś tajemnych myślach. Gdy chorąży się oddalił z proboszczem, Magdzia zbliżyła się ku niemu i szepnęła:

— Wiesz waćpan, że ja się lękam o Janka... muszę z waćpanem pomówić...

— Za chwilę będę waćpannie służył, — odrzekł pan Andrzej.

Pan Ignacy tymczasem podszedł do nich i począł rozprawiać o tem, jak to on z panem hetmanem będzie trzepać Turków.

— Jeszczem nie próbował Turków i okrutnie jestem ich ciekawy. Oni podobno lepiej się biją od Tatarów...

— Waścinej głowy tylko głupstwa się trzymają! — ozwał się za nim chorąży surowo. Kiedy kraj zagrożony srogą wojną, ty mówisz o tem jakby o jakiej krotchwili, kwoli twojej uciezce wymyślonej!

Pan Ignacy stanął zmięszany, nie śmiejąc nie odpowiedzieć.

— Otom się zbłaźnił! — rzekł wreszcie na stronie do pana Andrzeja. — Niechby już wylał ojciec, ale nie tak przy wszystkich, ex cathedra, tego już nadto, doprawdy!

— Ignasiu, czy możesz mię posłuchać chwilę uważnie? — spytała Magdzia, podchodząc do niego, gdy się chorąży oddalił.

— Jak czasem — odrzekł od niechcenia.

— Proszę cię więc i teraz bądź cierpliwym i posłuchaj mię, — odrzekła Magdzia poważnie.

— O, dla Boga, więc to nadługo się zabiera! — rzekł pan Ignacy z westchnieniem, przeciągając się lekko. — Doprawdy, dziwię się sam sobie, że dotąd jeszcze nie zostałem kanonizowany, jak męczennik...

— Czy jesteś w stanie dziesięć minut być poważnym, — tak, czy nie? — spytała Magdzia stanowczo.

— Trudne to wprawdzie, ale zdaje mi się, że dziesięć minut będę mógł wytrzymać. Tylkoż zlituj się Magdziu, do rzeczy!

Magdzia westchnęła tylko, i widząc, że pan Ignacy kręci się niecierpliwie na swoim miejscu, odrazu przystąpiła do rzeczy i zaczęła go półgłosem wypytywać, czy nie słycał czego przypadkiem o bracie.

— Nic nie słycałem, — odrzekł pan Ignacy, rozstawiając ręce, — boć i trudno coś usłycać wśród takiego mnóstwa szlachty, która się zebrała tam na Rusi, by odeprzeć inkursję. Być może, że on tam jest także, ale jak go tam odszukać?

— Ja jestem strasznie o niego zaniepokojona, — odparła Magdzia, — a Ewcia także umiera z trwoży...

— Co, co? — przerwał pan Ignacy. — Aha, teraz wiem już co się święci, — wykrzyknął, uderzając się po kolanie. — Tak to, panny siostry, toście ukrywały się przedemną; czekajcież, za karę będę teraz dokuczał pannie Ewie. Ale gdzież ona jest?

— Niema jej tu, ciocia zabrała ją do Krakowa.

— A pan Żelski zawsze do was jeździ? a czy jeszcze nie oczarował której z was swojemi wąsami?

— Już teraz nie jeździ, odkiedy Ewie niema i podobno nawet wybrał się do Krakowa, by ją i tam zanudzać swoją rozmową, — odrzekła Magdzia.

— Ale ja widzę, że Andrzej ma okrutną chęć zbliżyć się do ciebie, — przerwał pan Ignacy. — No, idź, idź, idź, toć ja nie przeszkadzam, —

Listy z Wiednia.

Lipiec, 1898.

dodał, zwracając się do towarzysza, nawet mogę pójść sobie, abyscie mogli gadać ile zechcecie.

To mówiąc, odszedł, rad że się wyrwał od poważnej rozmowy i za chwilę słyhać już było, jak w sali jadalnej żartował z pani Katarzyny, nakrywającej stół do wieczerzy.

— Jak waćpan myślisz, — rzekła Magdzia do pana Andrzeja, — czy on kiedy w życiu nabierze statku i powagi?

— Trudno to wiedzieć, — odparł; — może z latami zmieni się nieco.

— A ja myślę, że on już takim zostanie, i rozpaczę mię nieraz bierze, — odrzekła Magdzia. — Ot, gdyby nie waćpan, — dodała ze szczerością i prostotą, — tobym nie miała przed kim zwierzyć się w moim frasunku...

— Ale ja także będę musiał pożegnać waćpannę, — rzekł pan Andrzej.

— Jakto, a gdzie waćpan jedziesz? — spytała, przestraszona niemal.

— Na Ruś. Ignacy powiada, że dużo szlachty pociągnęło z naszych województw, czyżem ja gorszy od innych, — odrzekł spokojnie.

Magdzia, nic nie mówiąc, patrzyła mu czas jakiś badawczo w oczy...

— Cóż to waćpanna tak na mnie patrzysz? — spytał z uśmiechem.

— Bo mi się widzi, że waszmość coś ukrywasz przede mną, — odparła.

I dodała nagle z niepokojem:

— Waćpan wiesz coś o Janku?

— Nic nie wiem, panno Magdaleno, bo czyżbym miał to przed waćpanną? — odrzekł zawsze spokojnie. — Mam tylko niepłonną nadzieję, że się dowiem teraz czegoś o nim...

— Byle tylko niczego złego, — dodała Magdzia z westchnieniem. — Ach, ciężko mi tu będzie samej, bez waćpana...

— Doprawdy? — rzekł pan Andrzej, a w głosie jego czuć było radość. — Tom wart coś przecie trochę w oczach waćpanny?

— Waćpan tak mówisz, jakbyś o tym nie wiedział, — odparła Magdzia z wyrzutem. — Albo może chcesz waszmość koniecznie, żebym mu powiedziała, iż go uważam za dobrego, poczciwego, no, słowem za najlepszego przyjaciela na świecie!... Chcesz tego waszmość?

— Miło mi słyszeć, że mi waćpanna masz za przyjaciela i postaram się zasłużyć na to miano, — odrzekł pan Andrzej, ze spojrzeniem, które mówiło bardzo wiele.

— A więc zawarliśmy z sobą pakt, — odrzekła Magdzia, podnosząc na niego oczy rozjaśnione. O, ja jestem pewną, że z pomocą waćpana potrafię przełamać wszelkie trudności!

On patrzył na nią wciąż z jakimś wyrazem serdecznym, który budził w niej uczucie pokoju i bezpieczeństwa. Z przyjemnością myślała, czując ten wzrok na sobie, że pod jego ochroną przesłaby spokojnie przez życie, otoczona kłiwą opieką, nie narażona na żadne burzliwe wstrząśnienia; że zawsze czułaby przy sobie wsparcie tego wiernego ramienia, które osłoniłoby ją przed każdą złą przygodą. Miło jej było także pomyśleć, że on przynajmniej się nie zmieni, — że pozostanie zawsze tem, czem był dotąd: stałym, niezachwianym w zasadach, wiernym w uczuciach.

Wyrwała się wreszcie z pod tego obejmującego ją tak silnie wrażenia; wstała, a pan Andrzej podszedł do niej, by ją pożegnać.

— Jedźże waszmość i niech cię Bóg prowadzi, — rzekła, podając mu rękę z mimowolnym wzruszeniem. — A wracaj prędko, i z dobrą wieścią...

— Bądź waćpanna spokojna i miej w Bogu nadzieję, — odparł głosem, w którym przebijało się także wzruszenie jakiegoś.

Choraży, żegnając go, rzekł mu serdecznie, — Wracajże waszmość szczęśliwie, a to mi będzie tęskno bez ciebie; już tak przywykłem do twej osoby, że mi się zdaje, iżes mi blizkim...

Twarz pana Andrzeja rozjaśniła się na te słowa; z synowskim uczuciem pocałował w ramię chorażego i odjechał.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Darujcie, piękne czytelniczki, jeśli was zaudzę tym listem, ale o czemże wesołem można myśleć obecnie na wiedeńskim bruku, gdy w uszach dźwięczą tylko takie wyrazy, jak: zawieszenie konstytucji, rozpędzony parlament, opozycja, obstrukcja, sądy doraźne dla Galicyi i t. p. mile brzmiące wyrazy, od których człowiekowi krew cierpnie w żyłach. Po za tem, zda się, życie w Wiedniu jakby zamarło, wszystko zmałało w obec tych przesilen państwowych, wstrząsających do głębi posadami monarchii austriackiej.

I o czemże tu innem można pisać, gdy się słyszy, że w Galicyi wprowadzono sądy doraźne?... A wiecie, co to za miła instytucja?

Oto czterech asesorów, w asystencji kata, ma prawo skazać na śmierć każdego człowieka, bez żadnej apelacji, wykonywając wyrok w ciągu dwóch godzin po jego ogłoszeniu. Wieleż to w ten sposób ludzi może być niewinnie zgubionych przez złą wolę świadków, sędziów lub też nieszczęśliwe okoliczności.

Wstyd i hańba klasom rządzącym Galicyi, że do tego dopuścili, że nie znalazły innych środków do uspokojenia tłumów, tylko ulegalizowany gwałt w postaci sądów doraźnych.

I co szczególniejsza, że niema teraz sprawców tych rozruchów, konserwatyści bowiem widzą w tem robotę działaczy demokratyczno-socjalistycznych, stronnictwo zaś postępowe upatruje w tem skutek trzymania ludu w ciemnocie przez zachowawcze rządy Galicyi.

Co jest istotną przyczyną — trudno jednym słowem orzec, to pewna jednak, że uświadamianie mas jest najlepszym środkiem na podniesienie poziomu moralnego społeczeństwa.

Tymczasem, jak wiadomo, dotychczasowi rządcy Galicyi niebardzo się o to troszczyli, a i to, co zostało uczynione w tym kierunku, zdaje im się za wiele, bo oto proponują zredukowanie kursu 6-letniego w szkołach ludowych na 3-letni, jakby obawiając się, żeby oświata nie zaszkoziła czasami ludności galicyjskiej. Wobec takich dążeń „inteligencji“, trudno dziwić się tym faktem ciemnoty i obskurantyzmu.

Te wypadki galicyjskie żywym echem odbiły się w Wiedniu, wikłając jeszcze i tak już trudne położenie rządu centralistycznego.

Przyczyną tych wszystkich przesilen gabinetowych jest opozycja niemiecka, która nie chce się pogodzić z tą nieuniknioną koniecznością, że jako mniejszość, musi ustąpić większości słowiańskiej. Używają więc Niemcy wszelkich środków, aby utrzymać za sobą dominujące znaczenie w państwie, wywołując swą zacieklą opozycją zawieszenie konstytucji i parlamentu. Jako pretekst do opozycji, służy im „rozporządzenia językowe“ dla Czech, których zniesienia uporczywie się dopominają. Hr. Thun czyni co tylko może, ażeby dojść do jakiegokolwiek porozumienia z opozycją, lecz wszystko nadaremnie; nieobowiązujące bowiem jego konferencje z opozycyjną lewicą niemiecką spełzły na niczem, gdyż Niemcy odrzucili przedłożone im do rozpatrzenia nowe prawo językowe dla Czech, nie zgadzając się na żadne ustępstwa. Hr. Thun przedstawi to prawo do dyskusji na posiedzeniu parlamentu, który, jak zapewniają, ma być ponownie zwołany we Wrześniu r. b., co będzie tem ciekawsze, że Koło Polskie już teraz oświadczyło, iż zachowa zupełną solidarność z Czechami. Jaki więc będzie ostateczny rezultat tej burzy, przyszłość niedaleka pokaże.

Ażeby wszystko jednak pomyślnie zostało załatwione i trudności wszystkie ominięte, potrzeba zdolnych mężów stanu, którzy potrafiliby badawczym okiem spoglądać w przyszłość i nie ugiąć się pod ciężarem trudności, jakie koniecznie trzeba pokonać dla dopięcia raz wytkniętego celu. Ale mężów takich właśnie Austria

obecnie nie posiada, bo jestto słabą stroną Galicyi, jak i całej monarchii, że do najwyższych dostojenstw są powoływani ludzie, którzy zawdzięczają swoje wysokie stanowisko nie zdolnościom, lecz urodzeniu; nie tęgiej głowie, lecz hrabiowskiej lub książęcej na niej koronie. Dla tego też w Austrii tak mało w ostatnich czasach było mężów stanu, którzy nie daliby się wywieść w pole, — a jenerałów, którzyby okryli się zwyciężkami laurami.

Jak hr. Thun, obecny prezes ministrów, wybrnie z tych trudności, w które go opozycja niemiecka postawiła, będzie to ciekawą kartą historyi.

Wobec tych niezem nieusprawiedliwionych uroszczeń opozycji niemieckiej i w obec tych gwałtów, dokonywanych przez Niemców, dla utrzymania swej przewagi w państwie austriackim, składającym się przeważnie z żywiołów słowiańskich, bardzo racjonalnym i pożądanym jest wmagający się coraz więcej prąd pangermański, który objawia się ciążeniem Niemców austriackich do rzeszy narodów niemieckich, pozostających pod panowaniem dynastji Hohenzollernów.

Niechaj więc Niemcy łączą się razem, bo jednocy ich i język wspólny, i tradycja, lecz niechaj wyperswadują sobie hegemonię wśród ludów słowiańskich i niechaj pogodzą się z tą myślą, że Austria musi się stać kiedyś federacyjnym państwem słowiańskim.

Zanotować można kilka wyroków sądowych, świadczących, że idee liberalne nie zupełnie przycichły w tem państwie.

Tak na przykład, sąd apelacyjny uniewinnił przywódcę socjalistów dra Adlera, skazanego przedtem przez sąd powiatowy na 2 tygodnie więzienia za obrazę hr. Badeniego, którego w swej mowie dr Adler nazwał naczelnikiem zbrodniarzy i zbrodniczego rządu, motywując swój uniewinniający wyrok tem, że dr Adler, mówiąc to, miał na myśli tylko polityczne zbrodnie. Sąd zaś powiatowy skazał na grzywny dyrektora magistratu Tachaua za naruszenie nietykalności domu, należącego do pewnego stowarzyszenia socjalistycznego.

Również należy zanotować fakt solidarnego wystąpienia adwokatów i notaryuszów słowiańskich Krainy, Styryi, Karyntyi i Pobrzeża przeciwko postanowieniu sądu apelacyjnego w Gracu, że wszystkie sprawy mają być przed nim rozstrząsane w języku niemieckim.

Na zebraniu w Lublanie, odbytem dnia 17 b. m., pod przewodnictwem wice-marszałka sejmu styryjskiego dra Sernaca z Cylei, uchwalono, ażeby żaden z adwokatów i notaryuszów słowiańskich w czasie rozpraw sądowych w Gracu nie posługiwał się językiem niemieckim i nie podpisywał protokółów w tym języku napisanych, a w razie jakichkolwiek przeszkód ze strony władz sądowych, udawał się z apelacją do najwyższego trybunału.

Wszystkie te fakta, w obec opozycji niemieckiej, są bardzo znamienne i świadczą o wielkiej sile żywotnej Słowian austriackich, co każe przypuszczać, że zażarta opozycja Niemców spotka się z również silną opozycją i walka ta skończy się nie tak prędko, pomimo, że ze względu na zbliżający się jubileusz Franciszka Józefa rząd radby tę burzę jak najprędzej zażegnać. Będzie to jednak chwilowy spokój, kryjący wir walki wewnątrz, ażeby nie psuć nastroju świętych uroczystości.

A uroczystości te zapowiadają się wspaniale, aby godnie uczcić 50-tą rocznicę wstąpienia na tron cesarza, przypadającą dnia 2 Grudnia r. b.

Pierwsze miejsce z pośród przygotowań do tego obchodu należy się otwartej dnia 7 Maja r. b. wielkiej jubileuszowej wystawie w Wiedniu, której celem jest przedstawienie stopniowego rozwoju nauk, sztuk, techniki, przemysłu, rzemiosł i t. p. pod panowaniem Franciszka Józefa.

Wystawa mieści się w olbrzymiej rotundzie na Praterze, gdzie obszerny park ozdobiony jest pięknymi budynkami i pawilonami.

Z pośród mnóstwa ciekawych rzeczy, są tam godne widzenia rozmaite warsztaty, przerabiające na miejscu surowe materiały, jako to: skó-

rę, metal, drzewo i t. p. na gotowe przedmioty. W „Srebrnym dworze“ znajdują się przeszliczne wyroby jubilerskie ze srebra i złota.

Bardzo ciekawy jest „Jedwabny pawilon“, gdzie można dokładnie zapoznać się z przemysłem jedwabniczym, reprezentowanym tutaj przez rozmaite drogie materye, chustki i inne wyroby tego rodzaju. Pawilon ten zdobi biust cesarza na wysokim postumencie, otoczony podobiznami cesarzowej chińskiej i cesarzowej japońskiej, które pierwsze miały hodować jedwabniki, oraz królowej Katarzyny Cornaro z Cypru, której przypisują wprowadzenie jedwabiu do Europy, i cesarzowej Marii Teresy, opiekującej się gorliwie produkcją jedwabiu.

Jest także specjalny budynek w stylu „Rene-sans“, mieszczący w sobie piekarnię, przygotowującą w miejscu doskonale pieczywo.

Hale gospodarskich produktów i maszyn ilustrują rozwój rolnictwa i gałęzi przemysłu z nim związanych.

Oprócz oglądania przedmiotów z dziedziny przemysłu, wystawa daje możność śledzenia postępu w rozmaitych gałęziach nauki, a nawet sami zwiedzający mogą pod kierunkiem doświadczonych osób wykonywać pewne fizyczne i chemiczne eksperymenty, oraz obserwacje astronomiczne.

Dla zapoznania się z rozwojem sztuki ostatnich lat 50-ciu, należy zwiedzić oddzielny gmach sztuk wystawy jubileuszowej, gdzie znajdują się modele architektoniczne. Specjalny zaś pawilon Wiednia przedstawia za pomocą obrazów i modeli rozwój tego miasta pod względem architektury.

Niezmiernie ciekawe są działy wystawy, ilustrujące postęp w dziedzinie oświaty, kształcenia, zabaw, szpitalnictwa, dobroczynności i t. p.

W ogóle wystawa ta dała możność obserwowania postępu, jaki przemysł, nauki i oświata Austrii w ostatnich 50 latach uczyniły.

Obiegają pogłoski, że jeszcze jedna uroczystość zapowiada się w niedalekiej przyszłości, mianowicie zaślubiny następcy tronu arcyksięcia Franciszka Ferdynanda z księżniczką Maryą Ludwiką Kumberlandzką, córką królewicza hanowerskiego i królowej duńskiej. Połączenie się tym sposobem dworu austriackiego z hanowerskim, gdyby ta pogłoska rzeczywiście miała się sprawdzić, nie mogłoby pozostać bez ważnych następstw, gdyż księżką Kumberlandzką, przebywając od roku 1866 w Austrii i rezydując z swym dworem w Gmundenie, nie wyrzekł się aspiracji do tronu hanowerskiego i brunszwickiego.

Oprócz tych wiadomości z wielkiego świata, godną zaznaczenia jest cicha, lecz nieobojętna dla ludzi interesujących się sztuką, uroczystość odsłonięcia pomnika, wzniesionego na cześć znakomitego niemieckiego malarza Hansa Makarta. Odsłonięcie nastąpiło dnia 13 Czerwca r. b. Pomnik wykonany przez Wiktora Tilgnera, wyobraża niedoścignionego kolorystę w całej postaci, ubranego w bogaty kostium wspaniałego pochodu, który zmarły artysta urządził podczas uroczystości srebrnego wesela pary monarszej. Jedną ręką, wspartą na poręczy pięknego stylowego krzesła, druga, podtrzymująca przy piersi zarzucony na ramię płaszcz, przy wyniosłej postawie, nadają postaci niezwykle urok, sprawiający, że widz odczuwa wrażenie, iż rzeczywiście postać ta wyobraża mistrza.

Patrząc na ten wspaniały pomnik, wzniesiony bez hałasu, bez czezej gadaniny i frazesów, doznaje się niezwykle przykrego uczucia, gdy przyjdzie na myśl pomnik Mickiewicza w Krakowie, przez tak długi przeciąg czasu na niezliczonych naradach i sesjach omawiany, i w końcu, mimo to, wykonany nie tak, jakby należało. Czas już chyba zrozumieć tę wielką prawdę, że dla przeprowadzenia jakichkolwiek przedsięwzięć, potrzeba mniej słów i frazesów, a więcej czynów i działania. Ta prawda jednak jeszcze długo, zdaje się, będzie obcą naszemu społeczeństwu.

Dzieje się to samo i z „elektroskopem“ pana Szczepanika, któremu wytoczono podobno procesy o pierwszeństwo w pomysłach, chociaż, jak

dotąd, nie realnego w tym względzie jeszcze nie oglądaliśmy. Czyżby więc nie lepiej było, zamiast procesować się, wprowadzeniem w czyn wątpliwych teoryj zdobyć laury wynalazcy.

P. Szczepanikowi, widocznie, te napaści zdroszczyły mu sławy już się uprzykrzyły, gdyż postanowił na pewien przeciąg czasu (co prawda niedługi) porzucić tę zjadliwą ziemię i puścić się w towarzystwie porucznika Mayera i znanego aeronauty Löwa, w podróż napowietrzną. Miejscem, z którego wznosił się balonem, był plac wystawy jubileuszowej, gdzie pod kierunkiem p. Löwa została otwarta stacya tego rodzaju wycieczek podobłocnych.

Jeszcze dowcipniejszą ucieczkę wymyślił sekretarz tutejszej ambasady hiszpańskiej ks. Frias, który ulotnił się z Wiednia, zostawiając po sobie, jako pamiątkę, ogromne długi. Grand hiszpański widocznie zapatrzył się na swoich współpracowników, wojujących w Ameryce, z tą tylko różnicą, że drapnął nie z pola walki, lecz z placówki dyplomatycznej.

Awantura ta wywarła we właściwych sferach pewne wrażenie. Już to Wiedeń nie może narzekać na brak różnego rodzaju ekscentryczności.

POCIESZENIA

OPOWIADANIE

przez

Aleksandrę Łapińską.

(Dalszy ciąg).

II.

Nazajutrz zbudziłem się, kiedy słońce jeszcze purpurowo świeciło w moim pokoju. Spojrzałem na zegarek, było dopiero po czwartej, z otwartego okna płynęło powietrze świeże i takie jakieś czerstwe, że oddychając niem, nie czułem wcale znużenia po spaniu, a natomiast rześkość w członkach i jakąś dziecinną wesołość w duszy.

Właśnie na korytarzu, tuż pode drzwiami moimi usłyszałem czyjeś stąpanie na palcach. Domyśliłem się, że to był Władek, że idzie pewnie do gospodarstwa; wzięła mię ochota towarzyszenia mu, więc zacząłem na niego wołać półgłosem.

Usłyszał i przyszedł do mnie.

Z początku chciał mnie namawiać do dalszego spania, ale mu się nie udało, bo ja ubierałem się coby prędzej.

— Pokażesz mi gospodarstwo, — mówiłem, — teraz rano, kiedy wszystko do roboty się zabiera, najciekawszy widok.

— Ano dobrze, — zaczął, i widziałem z jego twarzy, że mu się projekt mój podoba. — Teraz tylko wydam obrok dla koni, i pojedziemy do lasu, bo trzeba będzie wyznaczyć drzewa, które pójda pod siekiere.

— A widzisz, bratku! — zawołałem wesoło, I poszliśmy.

Ten spacer z Władkiem miał bardzo ważne następstwa i dla Zahorza i dla mnie.

Mój cioteczny braciszek nie był widocznie tak przewidujący, jak jego najstarsza siostra i przyjazd mój żadnych w nim podejrzeń nie wzbudził. Więc też z całą swobodą i braterską ufnością opowiadał mi o finansowym stanie Zahorza.

A stan ten nie był wcale tak świetny, jak się na pozór wydawać mogło. Na hypotece nie ja jeden figurowałem. Wprawdzie bardzo zapobiegliwie i czujne gospodarowanie ciotki, w czem jej od roku już Władek pomaga, niejedną szczerbę wyrównało, i coraz łatwiej koniec z końcem związać. Ale to jeszcze nie daje pewności, że się zupełnie wybrnęło z niebezpieczeństwa grożącego Zahorzemu od śmierci wuja. Bo niechby

tak który z wierzycieli sumę swoją wypowiedział, albo niechby jaka kłeska dotknęła gospodarstwo, mogłoby być źle.

— Bo to, — mówił Władek, kiedyśmy bryczką jechali do lasu, — nie każdy wierzyciel taki jak Lucyan! Że to niby nam trochę teraz lżej, że się bierze i za wełnę i koźmi trochę handluje i drzewem, nie mówiąc już o zbożu, bo to zwyczajnie, jak w gospodarstwie rolnem; to zaraz ten i ów: „A zapłaćcie na Święty Jan“ — a tu znów: „Na Nowy Rok“ i niby wymówić chcą swoje pieniądze, ale naprawdę, to im chodzi o to, aby wyższy procent wytargować!

Milczałem, a Władek mówił dalej:

— Zawsze, może Pan Bóg da, że za kilka lat stanę na nogach! Tembardziej, iż się to tak z dziewczynami dobrze składa: Julcia zrzekła się wszystkiego, byle teraz na jej pobyt na uniwersytecie łożyć. Potem, gdy już medycynę skończy, to tylko prosi o jakie dwa pokoje w Zahorzu i mówi, że się doskonale utrzyma swoim doktorowaniem. Ale niech tam ona mówi swoje, a ja zrobię swoje i na krzywdę żadnej nie pozwolę. Co prawda, to ona tam zagranicą bardzo mało wydaje, ot zwyczajnie, jak kobieta. Ja, kiedy byłem w Dublinach, tom przez rok tyle puścił, ile ona przez cały czas chodzenia na przyrodę. Ja już teraz zmądrzałem, ale przedtem, to byłem porządnie głupi!

I na dowód jak zmądrzał, zaczął mi opowiadać, że przez cały rok wstaje o świcie i tak pracuje i tak pilnuje, aby się żadna chwila, żadne ziarno nie zmarnowało. I zapalił się Władek przy tem gadaniu.

— Bo to, — mówił coraz żywiej, — przecież nasz kraj, to był dawniej jak śpichlerz, rola i rola; a teraz co się z tą rolą zrobiło? Gdzie największa ruina? — na roli; co najbardziej obdłużone? — rola. A jak się tak ziemię straci pod nogami, to potem co? Bo niech tam sobie gadają, że w każdym narodzie najwięcej znaczy siła intelektualna, pewno, prawda; ale mnie się zdaje, że jak dla duszy koniecznie trzeba ciała, żeby był człowiek, tak i dla narodu potrzebna ziemia, aby było widać, że to kraj. Więc też będę trzymał ten mój kawałek ziemi tak, jak to dawniej sztandary trzymali.

Przyznaję, że bardzo niemiłe było mi w tej chwili wspomnienie moich zmarnowanych milionów, zacząłem się nawet zastanawiać, jakim sposobem straciłem tyle pieniędzy? Ale prawda, ja rachowałem się tylko z tem, czego pragnąłem. I to, widać, było we mnie bardzo silne, bo i teraz pod wrażeniem słów Władka, zachciało mi się raptem dobrobytu i nadziei dla Zahorza; więc już na nic innego uwagi nie zwracając, powiedziałem:

— Masz zupełną słuszność, Władziu, ziemi swojej nie puszczaaj, a wierzycieli bierz tylko takich jak ja, bo oni do końca życia kapitału ci pewno nie wypowiedzą.

On się roześmiał, a ja doznałem uczucia, jakbym zatkawszy sobie uszy i oczy, dał nagle nurka w głęboką wodę, nawet, zdaje mi się, że na chwilę oddech zaparł. A potem zacząłem się zastanawiać, dlaczego, kiedy rozmowa potrąca kwestyę pieniężną, tak samochęc krzyżują sobie plany?

Ale bardzo rychło odpowiedź znalazłem.

Przed oczami moimi świeciło dobroczynne słońce; zboże dojrzało na polach na pożywienie dla ludzi; w powietrzu balsamy płynęły; obok mnie siedział chłopak o prawej duszy; więc otaczało mię samo dobre: cóż dziwnego, że i ode mnie coś poczciwego wyszło, coś, co pewnie najlepsze było z całego mojego dotychczasowego życia.

Jednocześnie uczułem, że rodzina ciotki Wierzyńskiej stała się dla mnie bliższą, że mnie przywiązało do niej jedno z najsilniejszych ogniw: wyświadczone jej dobro.

Wprawdzie coś tam we mnie trwożyć się zaczęło, niepokoić, ale zarazem głos jakiś mówił do mojej duszy: „To coś powiedział, to było uczciwe, ciesz się, nie jesteś taką znów ostatnią kreaturą.“

Wokoło mnie było tyle światła, taka wesołość pogodnego poranku, że poszedłem za moim cichym doradcą i zacząłem się cieszyć

Gadałem, dowcipkowałem, a śmiałem się tak szczerze i wesoło, jak chyba za lat dziecinnych.

I już mię ten humor długo nie opuszczał.

Kiedyśmy wszyscy czworo pojechali przed wieczorem konno, to ja, niby Farys jaki szalałem na Ingomarze. Zrozumieliśmy się, ja i mój dzielny wierzchowiec: nie zawsze w duszy tak lekko, szerokie przestrzenie przed nami do jutra może już znikną; więc używaliśmy swobody, podniecając się wzajem.

A Julcia na swojej bieluchnej Strzale, w czarnej amazonce, w ciemno-zielonym tyrolskim kapelusiku na wijących włosach, taka była ładna, kiedy, uśmiechając się, patrzyła na moje harce. — Brawo, Lucyanie, brawo! — powtarzała. — Taki dzielny z ciebie jeździec!

Była chwila, żeśmy we dwoje tylko pozostali na łące pod lasem. Stefka popędziła naprzód, szukać wiatru w polu, a Władek zбочzył do ludzi pracujących w pobliżu.

Ingomar przekłusowany już należycie, szedł zwolna obok Strzały i czarnym łebkiem potrząsał, jakby na znak, że rad ze swojej białej towarzyski.

A my jechaliśmy mileząc.

Słońce już zaszło, czerwone tylko niebo zostało za sobą i ciepło. Nastąpiła chwila zupełnej ciszy: ani jedna gałązka na drzewie nie zadrżała, ani pyłek najlżejszy w powietrzu się nie unosił, była cisza zachodu po dniu pogodnym. Taka cisza ma w sobie majestat jakiś, może tęsknotę dnia minionego, który, choć tak bliski, tak prawie trwający jeszcze, już w niepowrotną uleciał przeszłość. Wtedy jakaś harmonia półbrzmień i półtonów ze świata przyrody wypływać się zdaje, echem po ziemi niby fala sunie i cały świat ogarnia w jakiś przejmujący śpiew ciszy.

I uczułem, że mnie zaczyna obejmować rozmarzenie, że dusza prosto podnosi się we mnie i chciałaby zabrać ze sobą duszę Julci i płynąć z nią razem w te obszary przezrocze.

A ona właśnie mówić zaczęła półgłosem:

— Czy ty, Lucyanie, nie doznajesz złudzenia, kiedy się tak zaczerwiem niebo przed wieczorem, a na ziemi tak się zupełnie uciszy, że to jakaś chwila ogromnej ekstazy w naturze; że ziemia wszystkie uroki swoje odsłania niebu, a ono zbliża się ku niej i bierze ją w purpurowe ramiona.

Umilkła i przez chwilę patrzyła w daleką przestrzeń. A na jej słodką twarz padały też same purpurowe blaski i migotały jak ognie w jej źrenicach.

— A wtedy, — mówiła dalej, — to już o ziemi nie można mówić: „proch szary“ tylko „raj.“

Nie wiem, czy mię się zdawało tylko, czy rzeczywiście zasmuciły się jej śliczne oczy, głos zcichł i jakby trochę drżał, gdy dodała:

— Bo to pewnie ten sam Eden, który Pan Bóg dał ludziom, tylko że my z niego szczęścia nie umiemy wydobyć. I skarżymy się, że na świecie źle, i już, zda się, wierzymy temu najmocniej, kiedy nagle stanie przed oczami taki widok i wstrząśnie duszą, bo jej mówi najwyraźniej: „dla szczęścia twojego mnie uczyniono.“

— A widzisz, Julu, — powiedziałem wtedy, — że dusza szukać się nie da i nie da się wziąć na żaden munsztuk! Sięgajże tu teraz poza twoje serce, kiedy ci ono w piersiach płacze. Widzisz, siostrzyczko, pokonałaś się sama, własną swoją bronią.

Ona zaczęła się wtedy po swojemu uśmiechać, tak trochę rzewnie i radośnie zarazem i odpowiedziała:

— Ale kiedy takie chwile rzadko się przecie zdarzają i nie ciągle w duszy egoistyczne pragnienia.

— Ale są, ale są, — powtarzałem.

— To też się wtedy westchnie tylko i powie do duszy: „cicho, cicho, no, cicho...“

Ja miałem wtedy ochotę przycisnąć ją do piersi. Nie odpowiedziałem nic, tylko wzrokiem, w którym, zdaje się, dużo było wyrazu patrzyłem na nią.

Zarumieniła się i spuściła powieki.

A ja zacząłem w duszy przemawiać do niej z ogromną tklivością... „Czyś ty dopiero teraz spostrzegła, dopiero teraz? a ja przecie od wczoraj tak na ciebie patrzę. Moja droga, moja droga...“

Po chwili zaczęliśmy mówić o rzeczach potocznych, ale bez dawnej swobody. Czuliśmy jeszcze tę niemą rozmowę spojrzenia mojego z jej rumieńcem. Duchowo ona nas zbliżyła, pozostała w myślach, jak wspólna tajemnica; ale natomiast widomie, cielesnie jedno od drugiego oddaliła. Już się tak śmiało, tak prawie bez zastanowienia nie mówiło o tem, co na usta przyszło. Baliśmy się, aby znów nie dojść tam, gdzie serce tylko widzi.

Niedługo przygalopowała do nas Stefka, a byliśmy jej bardzo radzi, bo nam zaraz swobodniej zrobiło się przy niej.

— Gdzie ja byłam! Żebyście wiedzieli, gdzie ja byłam! — wołała zdyszana, — w Lechowiu!... Pani Milewska pojechała do nas... prosić do siebie na zebranie... Mańka w domu... okropnie rada, że jest Lucyan, bo zaraz jej powiedziałam. Będzie jeden więcej do tańca, w tę niedzielę ma być ten wieczór...

I mówiąc żywo, przymocowała sobie cugle do paska, a swobodnymi rękoma zaczęła poprawiać włosy, które przy szybkiej widocznie jeździe, rozwinęły się z warkoczy i pyszną czarną falą opłynęły jej plecy. Mnie dała szpicrutę do trzymania, Julci swój kapelusz i zaczęła włosy na tyle głowy zaplatać.

Prześliczna była: krew jej do twarzy popłynęła, oczy od zmęczenia wydały się jeszcze czarniejsze, i zęby bielily jej się w ustach, bo się śmiała.

Ale koń nie chciał długo stać spokojnie, zaczął się kręcić, nim jeszcze z włosami skończyła; musiała więc czesania zaprzestać i znów wziąć cugle do rąk.

— Ech co tam! — zawołała, — niechże sobie wiszą!

Odebrała od nas kapelusz i szpicrutę i poprawiła się na siodle.

— A teraz, wiecie co? tu taka pyszna droga pojedźmy sobie prosto, ale takiego porządnego wyciągniętego klusa!

W godzinę potem byliśmy w domu.

Ciotka istotnie podczas nieobecności naszej miała wizytę pani Milewskiej i odebrała od niej zaproszenie na niedzielny wieczór.

— No a ty, Luciu, pojechałbyś z nami do Lechowa? — zwróciła się do mnie podczas wyczerzy.

Przystąpiłem z ochotą, dla mnie tu wszystko inny miało powab niż w mieście. Ta perspektywa wspólnej zabawy dodała nam jakoś humoru, i zrobiło się przy stole wesoło.

Po wyczerzy, kiedy zebrałiśmy się w saloniku, Julcia zaczęła grać, a później śpiewała. Miała taki głos, którego się słucha sercem i który robi wrażenie, jakby wprost z duszy słuchającego płynął.

To też bardzo nie rad byłem, kiedy ciotka, skinawszy na mnie, wyszła na werendę i tam usiadłszy, wskazała mi obok siebie miejsce.

— Mój Lucyanie, — zaczęła, — ja tak jestem zajęta, że trudno mi w ciągu dnia dłużej z tobą porozmawiać. Dobrze, żeście teraz na spacer nie poszli, bo o niejednym chciałabym z tobą pomówić.

Przez chwilę milczała a potem zapytała:

— Powiedz że, moje dziecko, ale tak szczerze, jakże ci się tam powodzi?

Ja przecie wiedziałem doskonale, że taka rozmowa z ciotką nastąpić musi, że jej nie uniknę i ostatecznie dla niej jednej przyjechałem; a jednak, kiedy się rozpoczęła, to przedewszystkiem uczułem przykre zdziwienie.

Już ja sobie postanowiłem podczas ранego spaceru z Władkiem, nie upominać się o moje pieniądze. Bo — rozumowałem — jeżeli mnie się podobało majątek stracić, to Zahorze nie ma najmniejszego obowiązku pokutować za to. Czulem przytem, że postanowienie moje jest więcej niż uczciwe, że jest prosto ofiarą, jaką w interesie rodziny ciotki ponoszę; a to przeświadcze-

nie taką sprawiało mi przyjemność, że jej się za żadną cenę pozbawić nie chciałem. Przytem wszystkim, co mnie otaczało: ta wieś cicha i taka swojska, ta masa błękitnego nieba, ci ludzie znajdujący rzeczywiste szczęście w dążeniu do jakiegoś uczciwego celu, wszystko to podniecało mnie ogromnie i było rodzajem recitativa przy głosach mojej duszy.

Prawda, że przez chwilę rozum odzywał się z przestroją, z niepokojem, co do dalszych losów, ale bardzo szybko uciszyłem go zapewnieniem, że zaraz po powrocie do miasta, przy powrocie znajomych mi, wpływowych osobistości, postaram się o posadę w jakiej instytucji — no i jakoś to będzie. Rozum się uspokoił; nie darmo byłem sybarytą, zawsze sobie dogodzić umiałem.

Po takim więc obrachunku wewnętrznym oddałem się całą duszą rozkoszom nowego życia, pędzonego na łonie uczciwości. To też bardzo prędko skończyła się moja rozmowa z ciotką, bo ją upewniłem, że powodzi mi się zupełnie dobrze i że teraz właśnie zamierzam postarać się o jakie zajęcie.

Dotąd niby rozpatrywałem tylko, badałem, przeglądałem, a obecnie zapewne w sferze urzędniczej poszukam kariery.

— No a z adwokaturą twoją cóż będzie? — zagadnęła ciotka, — przecie tyś się w tym kierunku kształcił.

A ja jej odpowiedziałem, że właśnie w zajęciu, którego szukam, gruntowna znajomość prawa, będzie dla mnie bardzo korzystną.

Ciotka zapytała jeszcze, czy nie potrzebowałbym podnieść sumy mojej zahypotekowanej na jej majątku. W takim razie wolałaby wcześniej o tem wiedzieć, aby odpowiednie porobić starania.

Tak to jakoś powiedziała swobodnie, tak naturalnie, że naraz wzięła mię ochota skorzystać z gotowości ciotki. Ale właśnie w chwili, kiedy już, już mówić to miałem, we drzwiach werendy stanęła Julcia.

I uczułem nagle wstyd prosić o pieniądze i jednocześnie przypominałem sobie to, co powiedziałem do niej jeszcze na stacyi, mianowicie, że nie bieda materyalna do swoich mię sprowadziła. Pocałowałem więc rękę ciotki i powiedziałem:

— Nie ciociu, nie potrzebuję, ale dziękuję za gotowość.

Teraz, kiedy już postanowienie moje stało się niecofnionem, wydało mi się, że nabrałem prawa do wyzyskiwania wszystkich przyjemności, jakie tu trafić się mogą. A właśnie Julcia stała we drzwiach werendy i zamyślonemi oczami patrzyła przed siebie. Więc wstałem i poszedłem do niej.

Człowiek jest bardzo skorym do wynagradzania siebie i radby ułatwić życiu wymiar sprawiedliwości.

Zresztą mię serce z taką ogromną mocą prowadziło już do Julci. Czulem jakieś bajeczne szczęście, widząc, jak jej oczy promieniają, kiedy na twarz moją patrzy, jak jej śliczne usta uśmiechają się do mnie słodko. I coraz bliżsi byliśmy tego uczucia, które ma w sobie więcej czaru, niż przyjaźni, choć nie budzi jeszcze takich jak miłość pożądań. Jeszcze nad nami był dzień, a w około nas prostota i spokój natury, więc i my byliśmy jeszcze nieświadomi i żyliśmy w tym legendowym raju, który pokusy nie znał.

Za parę dni dopiero, na owej zabawie u pani Milewskiej mieliśmy spojrzeć w głąb naszej duszy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z AMERYKI.

New-York w Lipcu.

O czem tu pisać, jak nie o wojnie? A więc wojna obecna toczy się o niezawisłość kubańczyków. Nikt jednak nie wątpi, iż niezawisłość kubańczyków będzie tylko fikcją, że Kuba urzędowo lub de facto, wcześniej czy później stanie się kolonią Stanów Zjednoczonych. Jest to tem więcej prawdopodobne, iż niezwłocznie po wypędzeniu Hiszpanów, w samych szeregach powstańców znajdzie się mnóstwo stronników przyłączenia do Ameryki. I ruch ten będzie wzmagał się w miarę, jak do Kuby będzie napływała emigracja amerykańska. Słowem, stanie się to, co stało się z wyspami Sandwich, a chociaż przyłączenie Kuby wywoła bez wątpienia silną opozycję elementową, którym ono się nie podobą, fakt ten prawdopodobnie spełni się w niedalekiej przyszłości.

W obec tego, nabiera pierwszorzędnej wagi pytanie: jaką wartość dla Stanów Zjednoczonych przedstawia perła Antyllów? Na pytanie to daje odpowiedź artykuł Roberta T. Hilla „Cuba and its value as a Colony“ umieszczony w ostatnim zeszyście czasopisma „Forum.“

P. Hill, geolog pozostający na służbie Stanów Zjednoczonych, dużo lat spędził na studyowaniu Kuby i wysp wschodnio-indyjskich. Hill zwiedził wyspę Kubę po raz ostatni w 1894 r. t. j. przed samym początkiem powstania i jego cyfry oraz spostrzeżenia odnoszą się do tego czasu. Od tej chwili naturalnie wiele rzeczy się zmieniło, gdyż trzyletnie powstanie zrujnowało bogatą wyspę. Ale z ruiny, Kuba podźwignie się w krótkim czasie, prędzej niż jakakolwiek okolica, gdyż kapitał ruchomy w jej handlu i przemyśle, przewyższa znacznie kapitał zakładowy, a produkcja kapitalistyczna jeszcze nie opanowała wyspy.

Na wyspie jest, a raczej było ośm miast z ludnością bardzo liczną. Największe z nich Hawanna (200,000 m.), Sant Jago (71,307), Puerto Principe (41,641 m.), dalej Motanzas, Cienfuegos, Holguin, Sanct Spiritu i Cardenas. Pozostała ludność zamieszkuje wsie, tereny i plantacje, których liczba dosięga stu tysięcy i które nie tylko karmią wyspę lecz wywożą produktów rocznie za 90 milionów dolarów.

Bogactwo Kuby polega przeważnie na cukrze i tytoniu, stanowiących 90 proc. całego eksportu. Produkcja cukru w roku 1892—3 wynosiła 815,894 ton, w r. 1893—4: 1,054,214 ton, w roku 1894—5 (rok powstania) 225,221 ton. Cała masa cukru z wyjątkiem 30,000 ton podlega wywozowi. Głównem miejscem produkcji tytoniowej jest prowincja zachodnia Pinal-del-Rio, lecz tytuń rośnie na całej wyspie. Znaczna część tytoniu przerabia się na samej wyspie na cygara, papierosy i tabakę i daje poważny zarobek ludności Kuby. Średni zbiór tytoniu oceniają na 560,000 tinków (tink—130 funtów), z których 430,000 tinków eksportują w liściach, pozostała ilość przerabia się na Hawanie. W roku 1897 cały zbiór wynosił 30 tysięcy tinków, t. j. dziesiętnastą część przeciętnego zbioru. Na wyspie rośnie także kukurydza, kawa, pomarańcze, banany, ananasy i inne owoce podzwrotnikowe, oraz ryż. Względnie mniej znaczne są mineralne bogactwa wyspy. Złoto i srebro znaleziono, lecz w tak małej ilości, iż nie oplacały się roboty. Według mniemania Hilla, złoto znalezione na wyspie przez pierwszych osadników hiszpań-

skich, było prawdopodobnie od wieków gromadzone przez krajowców z handlu z innymi wyspami. Żyły srebra i miedzi odkryto w różnych częściach wyspy lecz roboty prowadzono bardzo krótko, gdyż ilość rudy szybko wyczerpywała się. W wielu okolicach wyspy znaleziono marmury i granity. Na wybrzeżu północnem dobywają wyborną sól. Główny minerał wyspy, ruda żelazna znajduje się w wielkich ilościach pod Sant-Jago. Przemysł górniczy prowadzi przy pomocy znacznych kapitałów kupcy pensywanscy. Całą ilość rudy odstawiają do Stanów Zjednoczonych i stanowi ona znaczną część eksportu mineralnego dochodzącego w 1892 r. sumy 3,500,000 dolarów. Wszystkie produkcje, z wyjątkiem produkcji tytoniu upadają z powodu nierozsądnej polityki kolonialnej Hiszpanów.

Handel Kuba prowadzi ogromny. Wywozi produkty surowe i tytuń, a na import składają się: zboże, mięso solone, maszyny, skóry, galanterya i artykuły żywności. W roku 1892 eksport dosięgnął sumy 89,500,000 dolarów, import 56,250,000 dolarów.

Z całej sumy eksportu 89,000,000 dolarów, 85,000,000 przypada na produkty państwa roślinnego; 3,500,000 na produkty mineralne. W produktach roślinnych mieści się 241,300 tinków tytoniu, 155,000,000 cygar i milion ton cukru. W portach Hawany, Cienfuegos i innych ośmiu portach przebywało 3,181 okrętów objętości 3,538,539 ton. Głównymi rysami handlu Kuby są: 1) Wielka przewyżka handlowa na korzyść wyspy. 2) Olbrzymia przewyżka wywozu do Stanów Zjednoczonych. 3) Podział importu pomiędzy Stany Zjednoczone, Anglię i Hiszpanią (handel z tą ostatnią podtrzymują taryfy specjalne na towary z różnych krajów). 4) Zupełny brak handlu z sąsiednimi stronami z wyjątkiem Stanów Zjednoczonych, gdyż wyspa stanowi naturalne ognisko handlowe związane z tem państwem. Co więcej, jeżeli ktokolwiek pragnie udać się z Kuby do Porto-Rico lub Meksyku musi jechać przez New-York.

Następujące cyfry statystyczne dają dokładny obraz stosunków handlowych ze Stanami Zjednoczonymi i zarazem służą za ilustrację upadku handlu, spowodowanego przez powstanie. W 1892 r. przywóz ze Stanów Zjednoczonych wynosił 17,622,411 dol., wywóz do Stanów Zjednoczonych 77,931,671 dol.; w 1893 roku przywóz: 24,157,698 dol., wywóz 78,706,515; w 1894 r.: przywóz 20,125,231 dol., wywóz 74,678,061 dol.; w 1895 r.: wywóz 12,807,661 dolarów, przywóz 52,851,259 dol.; w 1896 r.: przywóz 7,530,880 dol., wywóz 40,017,730 dol.

Co się tyczy czystych dochodów wyspy, są one dwójakiego rodzaju: Przewyżka 30,000,000 dolarów wywozu nad przywozem i 15,000,000 z cel za towary przywożone. To powinno wystarczać na dobrą administrację i pomyślny rozwój wyspy przy racjonalnym zarządzie. Chociaż Hiszpania zapewniała zawsze, że wyspa nie daje jej żadnych dochodów, lecz w rzeczywistości jest inaczej i dlatego nie sama tylko hiszpańska дума narodowa skłania ją do obrony Kuby. Przy rozumnej administracji, wyspa mogłaby dać Hiszpanii jeszcze więcej dochodu, niż daje obecnie.

Handel Kuby zmniejsza się, jej urodzaje stają się coraz gorsze. System hiszpański jest wręcz przeciwny systemowi Stanów Zjednoczonych, pozostawiającym zupełną swobodę swym kolonjom.

Wszyscy mieszkańcy Kuby nawet Hiszpanie w pierwszym pokoleniu narzekają na stosunki panujące na wyspie.

„Jestem najmocniej przekonany—pisze p. Hill, że każdy mieszkaniec Kuby jest w duszy po-

wstańcem, a każdy powstaniec stronnikiem anneksyi, co okazuje się i z tego, że sztandar Kuby jest naśladownictwem sztandaru Stanów Zjednoczonych—posiada jedną gwiazdę na tle niebieskiem i czerwone i białe pasy.“

Pojawienie się artykułu pana Hilla w piśmie tak popularnem jak „Forum,“ świadczy, iż w wyższych sferach rządowych panuje silna dążność przyłączenia Kuby lub przynajmniej rozciągnięcie nad nią tymczasowo protektoratu, co z czasem na jedno wyjdzie.

„Polak w Ameryce“ pisze co następuje: W kongresie Stanów Zjednoczonych już parę razy omawiano bil za ograniczeniem emigracji, t. j. przeciw puszczeniu przybyszów z Europy do tutejszego kraju i nadawaniu im praw obywatelskich. Różni wnioskodawcy uzasadnili ten bill twierdzeniem, że naturalizowani obywatele i ich dzieci są rzadko dobrymi obywatelami; a o patryotyzmie u nich nie może być mowy. Tymczasem fakty dowiodły czego innego. Gdy wybuchła wojna między Hiszpanią a Stanami Zjednoczonymi, w większej daleko liczbie stanęli pod broń naturalizowani obywatele i ich synowie, aniżeli rodowici Amerykanie. Ci stosunkowo dostarczali nie zbyt licznych zastępów, ale za to chcą koniecznie zatrzymać dla siebie rangi oficerów różnych stopni, a szczególnie przywilej dostawców prowiantów dla armii. Rozumie się, że na tem da się coś zarobić a więc warto też i okazać swój patryotyzm.

Naturalizowani obywatele swemi piersiami zaslanają przybraną ojczyznę i walczą za jej honor, a tubylcy tylko w stosunkowo niewielkiej liczbie idą za ich przykładem. Którzy są tutejszymi amerykańskimi obywatelami?

Przy bombardowaniu Sant Jago odznaczył się szczególnie parowiec „Vesuvius,“ wybudowany według planów polskiego oficera w służbie marynarki amerykańskiej, Żalińskiego. Pomysł polega na tem, aby przy ścieśnieniu powietrza za pomocą specjalnej procy wyrzucać dynamit na wielkie oddalenie. Okręt przez niego zbudowany, jest mały i niski, może pomieścić wprawdzie mało węgla, ale przedstawia też mały bardzo cel dla pocisków nieprzyjacielskich. W pokładzie zbudowane są rury pneumatyczne, które wnoszą się ponad pokład pod kątem 18°. Pod pokładem w rury wprowadza się pociski, zawierające 500 funtów dynamitu, które wyrzuca się za pomocą ścieśnionego powietrza. Aby okręt nie ucierpiał, urządzenie jest tego rodzaju, że początkowa chyżość pocisków jest bardzo nieznaczna.

W mieście naszym pomimo wojny—życie ogromne i praca nie ustaje. Świeżo zbudowano bibliotekę uniwersytetu „Columb'a“ i oświetlono ją w oryginalny sposób. U szczytu kopuły, wznoszącej się nad tą salą, na wysokość 26 metrów zawieszono ogromną kulę szklaną z białego, nieprzezroczystego szkła, mającą 2 metry 13 cm średnicy. Na kopule, pokrytej wewnątrz matowem polerowanym szkłem, umieszczono także 8 lamp elektrycznych, które będąc niewidzialnymi z dołu rzucają silne światło na ową kulę szklaną. Odbite od niej promienie światła o sile 500 świec, sprawiając czarodziejski efekt, przypominają światło księżycowe, lecz o wiele od tegoż silniejsze, a przytem równe i przyjemne dla oka.

Z. R.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się: arkuś 11 powieści, p. t. *Spadkobiercy*, przez autorkę „Za cudze winy.“ Przekład Z. S.

Treść: Z górskich fragmentów, przez Szczęsną. — Kobieta angielska. Jej cele i dążenia. II., przez Anatola Krzyżanowskiego. — Zapomniany śpiewak miłości, przez Antoniego Pileckiego (dokończenie). — *Bezkrólewie*, powieść historyczna w 2-ch częściach, przez Maryę Łopuszańską (dalszy ciąg). — *Listy z Wiednia*. — *Pocieszenia*. Opowiadanie, przez Aleksandrę Łapińską (dalszy ciąg). — *Z Ameryki*, przez Z. R.

Dodatek obejmuje: *Spadkobiercy*, powieść, przez autorkę „Za cudze winy,“ arkuś 11. Przekład Z. S. — Przegląd mód. 38 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycje obiadu.